Nr. 36. Rok I.



NAUKOWY, LITERACKI I ARTYSTYCZNY.

Cena prenumeraty: kwartalnie w miejscu 15 sbr., na prowincji 18 sbr. 9 fen., w Krakowie i Lwowie 1 złtr. 20 c., w Galicji i w innych krajach austrjackich 1 złr. 40 c.

Poznań, 2 Września 1871.

Redakcja przy ulicy Fryderykowskiéj Nr. 27. Ajencje: Lwów: Milikowski, Gubrynowicz i Schmidt Kraków: Friedlein, Józef Czech.

POLIŚCI, POLANIE I WIELKOPOLANIE
PRZED NASTANIEM POLSKI.
(Dokończenie.)

Kiedy Rzymianie tragikomedję ze Swewami odgrywali, kiedy wypędzonego Marobuda przyjąwszy trzymali go u siebie na uwięzi, a straszyli ich nim, że powróci i znowu panować im będzie, czemu się zdawał sam wierzyć; kiedy nowych królów narzucali Swewom, i opuszczali w potrzebie, a tym co się po nich na tron wdrapali, przyjaźń okazując, mieli za to wielce obowiązanych[1]); kiedy się mówię te intrygi działy, wtedy ligijskie ludy, oswobodzone od przemocy Marobuda, zaczęły na nowo rozwijać polityczne swe życie. Pierwszy wspomniał o nich Strabo, a Tacyt opisał bliżéj[2]). Z pięciu odznaczyły się dwa krańcowe to jest Arji i Nahanarwali, dzisiejszych Wielkopolan i Nadnarwlan, Mazowszanami późniéj nazwanych, protoplaści; trzy średnie wsiąkły w nie, i znikły. Natomiast powstał lud nowy, Wiślanami od Jeografa bawarskiego (r. 866—90) po raz pierwszy nazwany, który trzecie po Arjach i Nahanarwalach zajął miejsce w powstającéj na gruzach swewskiéj republiki Polsce.

W krajach, gdzie się pojawili ci Wiślanie, były, za czasów Tacyta, różnéj narodowości ludy. U żrzódeł Wisły i Odry siedzieli Osowie, Marsyngowie, Burowie i Gotynowie. Pierwsi panońskim, ostatni galskim mówili językiem, pochodząc zapewne od tych Gallów, którzy za Karpatami kilkowiekowe założyli państwo celtyckie[1]). Środkowi czyli Marsyngowie i Burowie, mową i ubiorem (słowa są Tacyta) dowodzili, że są Swewami[2]) Wszystkie te ludy złożyły się na utworzenie tak w XIII. dopiéro wieku nazwanéj Małopolski.

Szczegółowo się nad nimi a naprzód nad zamieszkującymi Wielkopolskę i Mozowsze, zastanówmy.

Wejrzawszy blisko w Arjów owych postać, pokaże się, że byli odnogą ludów indoeuropejskich, rolnictwu się wyłącznie oddających. Mieli oni pierwiastek ar w swéj nazwie, którego nie dostaje mowie ludów, z potrzeby tylko i przez niewolników albo najemników uprawą się roli zajmujących[3]). Mówiliśmy już wielekroć o tém, że do rzędu pierwszych należą Sławianie, których nawet szlachta po wszystkie wieki rolnictwem się zajmowała, a do rzędu drugich liczą się Niemcy[4]), u których najwięcéj wojaczka popłacała, i w rzędzie zajęć wolno urodzonego męża przodowała głównie[5]). Że ługi (łąki) to jest łęgowate pola od Łaby do Wisły rozciągające się, zamieszkiwali, nazywano ich Ligijami to jest Ługanami, czyli, jak dziś mówimy, Łużycanami.

¹) Tacit ann. XII. 29. 30.

²) Germ. 43. Latissime patet Ligiorum nomen, in plures civitates diffusum. Valentissimas nominasse sufficiet, Harios, Helveconas, Manimos, Elisios, Nahanarvalos.

¹) Lelewela Etudes numismatiques et archéologiques, Premier volume (więcéj nie wyszło). Bruxelles 1841.

²) Tacit Germ. 28. 43.

³) Miklas. Lexicon p. w. rataj, Gryma wörterbuch p. w. arbeit.

⁴) Grym tamże mówi ursprünglich war arbeit die auf dem knechte lastende, vorzugsweise was für die feldbestellung zum tagelohn gewerkt werden musste.

⁵) Grym w. Gesch. I. 38—50 mówi o tem szeroce. —

Że się przed wiekami przenieśli z za Karpat, widać to z ich zwyczaju farbowania ciała, Trakom i Dakom właściwego. Że niegdyś daleko na zachód sięgali, świadczą miejscowości od pola noszące nazwy. Z czasem znikały one, zastępowane będąc niemieckiemi nazwami. Jednakże tu i owdzie utrzymywały się, i jeszcze w XI—XIV były liczne, powiatom i siołom od p[illegible]wane nazwiska [1]).

Nazwiska te ku punktowi ciężkości, ku Polsce czyli ku Wielkopolsce, nachylając się, ciążyły ku niéj w dwóch szczególniéj miejscowościach, we Wielopolu niemieckiém czyli w dzisiejszéj Meklenburgji, tudzież we Wielkopolsce nad Wartą. Pierwsza kraina przepadła dla Polski, druga utrzymała się i dotąd utrzymuje, dzięki Mieczysławowi Piastowiczowi, który, udział swój w polistych ponad Wartą i Wisłą krajach przez Polanów zamieszkiwanych otrzymawszy, wsławił swoje panowanie orężem i roztropnością.

Historję obu tych krajów, Wielopola mówię i Wielkopolski, ile ją dotąd zbadać mogłem, w dwóch dziełach swych, w Pierwotnych dziejach Polski i Litwy (r. 1846), tudzież w Rocznikach i kronikach polskich i litewskich (r. 1850) opowiedziawszy, odsełam do nich czytelnika po bliższe się zaznajomienie tak z ludami w nich mieszkającymi, jak i z rządzącemi niemi książętami. Tu zaś zakończę ten, i tak już przydługi artykuł poglądem na ligijskie ludy, obok Arjów czyli Polan w Swewji zamieszkałe, i słóweczko o cywilizacji ich natrącę.

Położenie siedzib Nadnarwlan oznaczył rzymski historyk [2]) świętym gajem, czci bóstwa zwanego Alcis (holcy, pachołcy, młodzianie) dwóch braci młodzieńców wyobrażającego poświęconym. Zmieniła się z postępem czasu postać tych siedzib, znikł gaj, z nim znikła dawna miejscowości nazwa. Nowa, którą kraik Nadnarwlan uzyskał, różne miana w przetworze wieków przybierała.

Od przemagających już za Strabona w Germanji wschodniéj Getów ujarzmieni Nadnarwlanie, dawszy może powód do utworzenia się potwornéj Massagetów, pół lingwistycznéj pół historycznéj, nazwy, wystąpili z czasem, który określić wiekiem nawet niepodobna, pod przeistoczoném na Mazowszan mianem. Znaczyło ono mężów z pod jarzma niewoli wyswobodzonych [3]). Zachodziła niejaka między napomkniętemi wyżéj i niżéj mającemi się jeszcze napomknąć ziemianami (Semnonami) a Naharwalami w religijności jednostajność. Tam i tu stały gaje święte, tam wieszczyła dziewica, tu kapłanka [4]) przewodniczyła obrzędom. To też w późne wieki nadłabańska, nadwarteńska i nadnarwlańska słowiańszczyzna uchodziła za gorliwszą opiekunkę pogaństwa, aniżeli nadwiślańska.

Nader ważne uczynił Tacyt o ziemianach owych zeznanie, które na rodowód Wielkopolan, Mazowszan a nawet na Małopolan wielkie rzuca światło.

Według niego uchodzili oni, jak rzekliśmy, za przodowników imienia swewskiego, i jako tacy schodzili się co rok na święte obrzędy z pokrewnymi sobie ludami. Obrzędy te kończyły się poświęceniem człowieka na ofiarę bóstwu. Zwyczaj ten barbarzyński wraz ze czcią ziemi, która dała owym ziemianom nazwisko, wynieśli tutejsi poliści z nad Dunaju z pod Scytów panowania [1]). Ofiary ludzkie z przyjęciem chrześciaństwa ustały; cześć ziemi, matkę bogów przedstawiającéj, przeniesiona od ochrzconych Słowian nadłabańskich (potomków Swewów) na Bogarodzicę, utrzymywała się długo u Polaków i Rusinów z podobnymi, co za Tacyta, obrzędami. Dotąd po za Dnieprem takież niemal przejażdżki jak za czasów Tacyta [2]) obraz Bogarodzicy odbywa. Las, nazwa bóstwa dawna i nowa, którą gruntownie dzisiejszy pisarz wyjaśnił [3]), znaczenie bóstwa ziemi, czczonéj od Swewów i Sławian w pojęciu żywicielki, czyli ziemskich płodów rozkrzewicielki [4]); wszystkie okoliczności te razem wzięte są niezmiernéj doniosłości. Naprzód bowiem uczą, że Semnonowie byli najstarszemi wschodniéj Germanji Polistami; a nazwy swéj nie przynieśli z sobą ale ją tu uzyskali, czego dowodem jest brak spółgłoski *l* w ich imieniu [5]). Daléj stwierdzają to mniemanie, że przybywszy nad dolną Łabę na parę najmniéj tysięcy lat przed narodzeniem Chrystusa [6]), pierwsi w okolicach téj rzeki rolnictwo zaprowadzili. O miejsce rozszerzenia ich siedlisk i znaczenie nazwiska spór zachodzi. W Brandeburgji około miast Finsterwalde i Sonenwalde upatrują jedni z niemieckich uczonych siedlisko tych ziemian [7]); drudzy położenie lasu, w którym święte odprawowali obrzędy, posuwają ku Dunajowi [8]). Mniemanie pierwszych ma więcéj podobieństwa do prawdy. Istnieją dotąd odpisy listu zakładnicznego, biskupstwo hawelberskie w. r. 946 uposażającego dochodami, ciągnionemi z powiatu zemzici, zemzini i połowy leżącéj w tym powiecie puszczy, w któréj na wytrzebionych z lasu miejscach stały w XII jeszcze wieku wsi i wioski [9]). Puszcza wskazuje na las. Nazwa powiatu przypomina siedlisko ludu nazwanego oczywiście od ziemi, a nie od „zamku,“ jak mylnie objaśniacze owych odpisów mniemają. Ziemianami się on miał nazywać dla tego, że wyższy stan obywatelstwa przedstawiał. Mylne to zdanie objawił dziś pisarz, który po mnie pierwszy ze Słowian osobne dzieło o Swewach opracował [10]). Mylność polega na tém, że chociaż Tacyt zeznaje, iż się Swewowie od reszty Germanów równością stanów głównie odróżniali, pomieniony przecież pisarz utrzymuje, że jedni z ziemian byli krwi szlachetniejszé, inni z mniéj szlachetnéj pochodzili [11]).

Opowiedziawszy jakie się żywioły na utworzenie wykluwanéj ze swewizmu Polski złożyły, powiem gdzieindziéj kto je, kiedy i jak, do jednego sprowadzając mianownika, w odrębną całość ułożył, i w związek pierwotnéj cywilizacji zespolił.

Wacław Aleksander Maciejowski.

[1]) Do wymienionych w Pierw. dziejach Polski i Litwy str. 31. w przyp. 2. dodaj następujące: r. 1163. census tocius provinciae Poule, r. 1192. predium in Pole, r. 1247. duo mansi in Pole w Meklenb. Urkund. str. 78. 152. 593. R. 1224. Guewotin in pole Cod. Pom. str. 145. —

[2]) Tacyt w Germ. 43.

[3]) Mass za mąż (jeszcze nasz Chwalczewski tak się wyrażał) zkąd Massagetae mężowie Getów. Patrz Lelewela Narody str. 599.

[4]) Apud Nahanarvalos antiquae religionis lucus ostenditur. Praesidet sacerdos muliebri ornatu, mówi Tacyt w Germ. 43.

[1]) Herod. IV. 59. 62. 66.

[2]) Germ. 40.

[3]) Die Lygier i t. d. von Wojciech Kętrzyński. Posen 1868. Patrz str. 92. nstp. Rozbiór dzieła tego podałem do Przeglądu Wielkopolskiego z r. 1869.

[4]) Grym w Deutsche Mytholog. pierwsz. wyd. Patrz str. 182 Słowniczek czeski XI wieku znany pod nazwą Mater verborum p. w. Ceres dea frumenti.

[5]) Wszystkie rękopisy Tacytowego dziełka Germania, czytają Semnones, nie zaś Semlones. Południowi i wschodni Słowianie mówili i mówią zemla, zachodni zema (dziś ziemia).

[6]) Victor Jakobi w dziele Slaven- und- Teutschthum Hanover 1856. str. 14—15.

[7]) Germania nach den Ansichten der Griechen und Römer von F. A. Ukert, Weimar. 1843. Patrz 158 przyp.

[8]) H. Haas Urzustände str. 9

[9]) Są owe odpisy w Haselbacha Codex Pomeraniae diplomaticus nr. 20 i w Meklenburg. Urkundebuch nr. 14, 52, 130.

[10]) Západni Slavané o praveku, o którém wspomniałem wyżéj.

[11]) Západni Slovanè 15. 72.

HISTORJA SIWEGO WŁOSA.

Powieść

Władysława Łozińskiego.

(Dalszy ciąg.)

Oktaw zadrżał a twarz jego poczerwieniała gwałtownie od pomięszania.

— Czekałem dwa tygodnie na pana a raczéj na pieniądze, a niemogąc się doczekać pańskiéj wizyty, przychodzę, aby pana hrabiego uwiadomić, że kwota ta najdaléj w przeciągu dni trzech złożoną być musi jako depozyt, inaczéj...

— Inaczéj... — przerwał Oktaw w przerażeniu, które mu pierś kurczowo ścisnęło.

— Inaczéj — kończył adwokat spozierając badawczo na pomięszanego Oktawa — całą sprawę uważać należy jakoby za przegraną. Proces, który za kilka miesięcy mógłby być pomyślnie ukończony, pójdzie w odwłokę, któréj końca i ostatecznych rezultatów przewidzieć nie można...

— Za trzy dni, powiadasz pan, koniecznie, nieodwołalnie? — zapytał z pośpiechem Oktaw.

Adwokat odpowiedział stanowczém skinieniem głowy.

— Suma ta — począł Oktaw mówić z zająkaniem — nie znajduje się jeszcze w mych rękach... to jest znajduje się, czyli inaczéj jakby się już znajdowała... Nie wiedziałem, że tak spiesznie musi być panu wręczoną... Za trzy dni jednakże będziesz ją pan miał u siebie...

— Czy z pewnością? — zapytał adwokot, na którego twarz wystąpił wyraz prawdziwie ojcowskiéj życzliwości. — Panie Oktawie, powiedz mi pan otwarcie...

Oktaw nie dał dokończyć prawnikowi. Słowa adwokata zdawały się zdradzać, że domyśla się on prawdy... Ta myśl poruszyła wszystką krew w Oktawie... Wstyd, który się wyciskał płomiennym rumieńcem na policzkach, chciał Oktaw maskować urazą; spojrzał tedy dumnie na adwokata i przerwał:

— Proszę być spokojnym; pojutrze będę u pana...

Adwokat obojętnie przyjął szorstką odpowiedź Oktawa i skłoniwszy się, wyszedł.

Oktaw znalazłszy się sam w pokoju rzucił się w fotel i na chwilę pogrążył się w przykrą zadumę. Czuł, że haniebnie zawiódł zaufanie swéj biednéj matki i że może stać się przyczyną, iż wszystkie jéj nadzieje, które były osłodą jéj teraźniejszego bytu, rozbiją się zupełnie... Myśl, że stary prawnik przejrzał go i domyślał się całéj prawdy, paliła go wstydem...

— Za dwa dni muszę mieć pieniądze! — zawołał sam do siebie z rozpaczliwą energją i począł szybko przechadzać się po pokoju.

Jak tego dokazać, nad tém nawet nie miał czasu zastanowić się Oktaw. Całe piekło sprzysięgło się dziś na niego. Był to dla Oktawa jeden z owych dni fatalnych, okrutnych, które tak częste są w życiu każdego dłużnika, a w których jakby na dane hasło gromadzą się od razu wszystkie kłopoty, wywiązują się nagle wszystkie omijane jakiś czas kolizje, w których dają sobie rendez-vous wszyscy wierzyciele, zbiegają się jakby na złośliwe jakieś hasło wszystkie pozwy, protesta i rachunki...

Co chwila przybiegał lokaj z jakimś papiérem, a każdy taki papiér był przypomnieniem jakiegoś nowego, bardzo przykrego i bardzo nagłego kłopotu. Upominano się zewsząd, upominano się grzecznie lub po grubjańsku, prywatnie lub sądownie. Pomieszkanie nie było zapłacone, na niezapłacone meble zapowiadano sekwestr, a nawet lokaj, który przynosił te miłe listy na eleganckiéj tacy, zakończył tém, że prosił „jaśnie pana“ pokornie o zapłatę służbową za ubiegłe miesiące...

Oktaw znalazł się w prawdziwie politowania godném położeniu... Kazał zamknąć drzwi, nie wpuszczać nikogo i nie przyjmować pism, mających jakikolwiek kształt urzędowy. Próbował myśleć nad uciszeniem téj burzy, która ze wszystkich stron się zrywała, ale w takich chwilach niepodobna zdobyć się na zimniejszą nieco rozwagę. Głowa Oktawa pałała, szumiało w niéj chaotycznie, a myśl zbawcza nie nasuwała się żadna...

Po długiém szamotaniu się z najczarniejszemi myślami, Oktaw przypomniał sobie zapewne jakiś środek ostatni, albowiem porwał się szybko z fotelu i zadzwonił. Gdy pojawił się służący, Oktaw usiadł przy biórku i napisał słów kilka na bilecie, który opieczętował i w adres opatrzył.

— Idź natychmiast z tym listem — zawołał na lokaja. — Do Saugera! Saugera łatwo odszukasz, adres masz napisany. Wszak umiesz czytać. Jeśli go zastaniesz w domu, powiedz mu, że natychmiast go potrzebuję...

Służący oddalił się z biletem, a Oktaw jakby śmiertelnie zmęczony, rzucił się na sofę. Nie minęła godzina nawet, a lokaj powrócił z wiadomością:

— Pan Sauger czeka.

— Prosić natychmiast! — zawołał Oktaw i zaraz pojawił się w pokoju ów gość tak pożądany.

Nim przejdziemy do przedmiotu saméj wizyty, musimy obznajomić naszych czytelników bliżéj z figurą gościa. Był to człowiek około lat czterdziestu, z twarzą chudą i bladą, która całym wyrazem swym zaraz od pierwszéj chwili wstręt budziła nieprzezwyciężony. Twarz ta, z nosem wystającym, garbatym i ku ustom zwieszonym, okoloną była jasnemi bakenbardami, a świeciły z niéj oczy małe, przenikliwe, dziwnie niespokojne. Było coś w całéj téj postaci, co od niéj każdego odpychać musiało, bił od niéj wyraz przykry, którego niezdołały ułagodzić ani uśmiech grzeczny, który się po cienkich, sinawych ustach przewijał, ani układność miny, ani pewna odrębna elegancja mowy i giestykulacji.

Przeciwnie, w elegancji téj niezręcznéj leżało coś nieprzyjemnego i śmiesznego zarazem. Sauger ubrany był z jaskrawą a nędzną pretensjonalnością; strój jego przypominał wszystkie tandety, łączył w sobie wszystkie kolory. Czerwonawo-żółty paltot okrywał jego pochylone nieco barki, wąziutkie zielone pantalony raziły jasnofjoletowemi dużemi kratami, pod białym fałszywym kołnierzem umieszczony był olbrzymi fontaź żółtéj krawaty, a pod krawatą widać było koszulę zbrudzoną, spiętą jednakże drogą brylantową szpilką.

Kto był Sauger? Na to pytanie odpowiedziałby ci był każdy niemal mieszkaniec miasta, figura ta bowiem w najszerszych kołach była znaną i po swojemu sławną. Któż zresztą z nas samych nieznał takiego Saugera, nie widział takiego Saugera, nie słyszał o takim Saugerze? Był to lichwiarz znany w całém mieście, żyd posiadający ogromną fortunę, ale niemniéj przeto prowadzący daléj swoje rzemiosło. Mistrz swego zawodu, Sauger łączył w sobie wszystkie potrzebne ku temu przymioty; i chciwość namiętną, i zręczność niesłychaną, i demoniczną ruchliwość i potworną nielitościwość, na którąby okrucieństwo za słabą było nazwą.

W człowieku tym straszliwym zdawał się siedzieć i Shylok Szekspira i Gobseck Balzaca, a cała galerja skąpców i lichwiarzy Dickensa składała się na jego cha-

rakter. Kto raz miał to nieszczęście popaść w ręce Saugera, nie wydostał się już najczęściéj nigdy z tych piekielnych sieci, a w sieciach tych szamotało się mnóstwo imion i mnóstwo fortun znakomitych, a kto wydobył się z nich szczęśliwie a przynajmniéj obronną ręką, należał do rzadkich wyjątków. Zazwyczaj trzy tylko sposoby służyły do wydostania się z tych szpon okropnych. Jednym z nich był strzał samobójczy, drugim kij żebraczy, trzecim hańba...

Gdyby odznaczano tak samo geniusz przewrotności jak geniusz cnoty, Sauger musiałby mieć swój pomnik. Był to genialny w swoim rodzaju człowiek. Znawca bezprzykładny natury ludzkiéj, bystry obserwator, obznajomiony z najdrobniejszymi stosunkami każdego człowieka, który go pod jakimkolwiekbądź względem obchodził, przebiegły i zuchwały, Sauger znał jak żaden inny lichwiarz całą maszynerję swego zawodu i umiał nią poruszać z zdumiewającą zręcznością.

Człowiek ten miał mnóstwo zbrodni na swém sumieniu a szydził z sprawiedliwości i sądów. Jak Mefistofel kupował dusze i handlował niemi z równym sprytem, jak owemi brudnemi banknotami, od których się odymał jego duży pugilares. Liczył zarówno na wszystkie zalety, jak na wszystkie wady swéj ofiary, szukał rękojmi w honorze, jeśli nie widział jéj w wekslu, szukał jéj w podsuniętéj zręcznie zbrodni, jeśli nie widział w honorze. Nikt tylu zacnych ludzi nie rzucił w przepaść hańby, co Sauger.

Sauger zaczął od pospolitéj drobnéj lichwy, ale porzucił ją wkrótce. Nie pożyczał już komubądź, choćby na dostateczną ewikcję. Nie lubił zwykłych interesów, pogardzał prostemi spekulacjami. Wyszukiwał najbardziéj komplikowane sprawy, lubił oplątywać intrygami znakomitsze ofiary, starał się o to, aby mieć owe *causes célebres*. Zawód Saugera nazywano téż żartobliwie ale dość trafnie „metafizyką lichwy.“

Sauger miał już przytępione podniebienie dla zwykłych interesów wekslarskich, kończących się mizerją dłużnika, kozą zwyczajną, albo, co najnudniejszą było dlań rzeczą, punktualną wypłatą. Kto mu od razu, na pierwszy termin wypłacił dług zaciągnięty, z tym nie lubił już robić interesów — poczytywał to bowiem sobie za rodzaj despektu, jeżeli ktoś, co wpadł mu już raz pod rękę, wywinął się z niéj szybko i bez dużego szwanku. Lubił szalenie pewnego rodzaju interesa, które za pikanterję swego zawodu poczytywał. Słabość miał do eleganckich i wytwornych debitorek, które po za plecyma mężów zaciągały szalone długi — a ilekroć udało mu się znaleźć taką ofiarę, lubował się tém, że ma w ręku lont, którym wysadzić może w powietrze honor kobiéty, spokój męża, cześć familji i szczęście domowe. Usłużnym bywał bardzo dla młodych paniczów, o których wiedział że posiadają miłość dam wysokich a zamężnych, chętnie pożyczał lekkomyślnym chłopaczkom, latoroślom rodzin zamożnych lub znakomitych — zgoła tam najchętniéj się rzucał, gdzie poręczycielem wekslu była groźba strasznéj jakiéj katastrofy, gdzie mógł ująć w rękę dla pewności klucz do nieszczęsnéj jakiéj intrygi, do smutnéj tragedji domowéj... To było amatorstwo Saugera. Miał namiętność do takich sprawek, które były jakby jakimś demonicznym sportem dla tego straszliwego lichwiarza...

Gdy Sauger stanął przed Oktawem, młody ten lekkomyślny człowiek zadrżał zlekka. Oktaw znajdował się już w sieci lichwiarza, którego w duszy bał się i do którego głęboki wstręt uczuwał. Pokrywając jednakże niemiłe uczucie dobrym humorem, Jarski uśmiechnął się wesoło i przywitał swego gościa uprzejmém skinieniem głowy.

— Jak się masz panie Sauger, czekałem cię niecierpliwie!

Sauger ukłonił się bardzo grzecznie i z dziwnie śmieszną elegancją a zbliżając się do Oktawa wyciągnął doń swą wyschłą rękę, na któréj rysowały się żyły grubemi sinemi pręgami. Widząc tę dłoń obrzydliwą, jak szpony ostrą, plugawą i brudną, wyciągnioną naprzód i żądającą uścisku, Jarski wstrząsł się nieznacznie i rumieniąc się od oburzenia, udał, że jéj nie widzi i wskazując na fotel, zaprosił Saugera niemym ruchem do wypoczynku.

Sauger jedném przenikliwém spojrzeniem swych maleńkich oczek na wskroś przeglądnął Oktawa i dorozumiał się tego dumnego wstrętu. Chwilkę trzymał jeszcze dłoń wyciągniętą, a potém z uśmiechem szyderczym i jadowitym ścisnął ją i włożył do kieszeni. Następnie spojrzał do koła, wziął bez pozwolenia cygaro z kasety i zapaliwszy je usiadł wygodnie na fotelu, kładąc zabłocone buty na dywan kosztowny.

— Dziękuję ci bardzo, panie Sauger, żeś przyszedł zaraz... Mam do pana bardzo pilny interes...

— Niech pan hrabia nie dziękuje — odparł Sauger głosem ostrym i nieprzyjemnym — bo nie ma za co. Przyszedłem sam z własnéj woli, bo mam do pana interes także bardzo pilny. Gdybym go był nie miał, nie byłbym przyszedł mimo biletu pana hrabiego, bo nie mam dziś czasu...

Sauger mówił dość płynnie po polsku, ale zacinał żargonem żydowskim, a w głosie jego było coś sykliwego i ostrego. Mówił cicho, prawie szeptał, a przecież każde słowo było wybitne i prawie przenikające, a szept ten dziwnie raził uszy.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

JESZCZE POLSKA NIE ZGINĘŁA.

Bo co z Boga się poczyna,
To ma byt Bożego dzieła.
S. Goszczyński.

I.

Pieśni polska! tyś jak rosa,
Co na spiekłą duszę spada!
Ty ją wiedziesz przez niebiosa,
Jak w noc ciemną gwiazda blada!
Szczęsny, po nad czyją głową
Skrzydło swoje tyś rozpięła!
Gdy mu w piersi rzucisz słowo:
„Jeszcze Polska nie zginęła!“

II.

W dniach zwątpienia, w dniach katuszy,
Tyś balsamem i pociechą!
Nieprzerwanie gra już w duszy,
Raz schwycone twoje echo!...
Tyś na niebie mleczną wstęgą,
Co nam nowy cel wytknęła!
Tyś nam hartem i potęgą:
„Jeszcze Polska nie zginęła!“

III.

Chociaż przemoc się wysila,
By wyplenić wiarę z ludzi:
Często jedna, krótka chwila
Z pod popiołów iskrę budzi!
Choć się wszystko w krąg rozkłada,
Choć niewola górę wzięła...
Nagle z niebios jak grom spada:
„Jeszcze Polska nie zginęła!“

IV.

Matka dziecku nad kołyską,
Roniąc rzewną łzę w ukryciu:
Pieśń tę w drogę daje śliską,
By mu tarczą była w życiu!
— Z nią lub na niéj wróć mój synu!
Na niéj przyszłość twa spoczęła!
Niech cię wiedzie w drogę czynu:
„Jeszcze Polska nie zginęła!“

V.

Patrz, tam zasiadł przy kominie,
Stary rębacz wśród czeladzi:
Z ust mu wrzące słowo płynie,
O czémś prawi, o czémś radzi.
Opowiada, jak przed laty,
Naród rzucił się do dzieła,
Gdy zagrały raz armaty:
„Jeszcze Polska nie zginęła!“

VI.

A jeźlibyś począł badać,
Co go wiodło w bój rozpaczy?
Dziad ci będzie opowiadać,
Co to polska piosnka znaczy!
Jak jéj odgłos tłum porusza,
Jak potężne stwarza dzieła,
Pieśń siermięgi i kontusza:
„Jeszcze Polska nie zginęła!“

VII.

Gdy w Sybiru groźne lody,
Ze łzą w oku, z sercem skrzeplém,
Głucho sunie zastęp młody:
Pieśni polska, tyś mu ciepłem!
Już on w przyszłość patrzy lepiéj!
W snach, ojczyzna mu błysnęła!
I duch jego w trudach krzepi:
„Jeszcze Polska nie zginęła!“

VIII.

Matka syna, siostra brata,
Gdy w kajdany ich zakuto;
Gdy ich pędzą na kraj świata,
Polskiéj pieśni krzepi nutą...
A gdzie echo jéj dobieży,
Gdzie ta piosnka powionęła,
W starców idzie duch młodzieży:
„Jeszcze Polska nie zginęła!“

IX.

Gdy się żegna ze swojemi
Tułacz, gnany w świat żałobą:
Z garścią świętéj, polskiéj ziemi,
I pieśń polską bierze z sobą...
Ona, w pośród życia głuszy,
Nieraz z lic mu łzę zwionęła,
I nadzieją grała w duszy:
„Jeszcze Polska nie zginęła!“

X.

Często brat, mogiłę bratnią,
Gdzie uronić łzę nie grzechem,
Garść rzucając już ostatnią,
Staréj pieśni żegna echem...
Pieśń, co człeka wiodła w życie,
Z nim w kraj śmierci popłynęła,
Gromem pisząc na błękicie:
„Jeszcze Polska nie zginęła!“ *)

We Lwowie dn. 13. 8. 71.

Władysław Bełza.

*) Wiersz ten, jest niejako dopełnieniem prześlicznéj pieśni, pod powyższym tytułem drukowanéj w Lipsku w zbiorze poezji Alkara.

Z PIŚMIENNICTWA POLITYCZNEGO.

(Dokończenie.)

Nic prawdziwszego nad to, co wypowiedział autor: „że dopóki starczy żywéj Polski, dopóty trwać będzie kwestja polska“ a na innćm miejscu: „że Azja wtedy zapanuje nad Europą; gdy po nad zatraconą Polską zabrzmi pieśń łabędzia jéj zgonu.“ Wszakże należało jedno i drugie zdanie uzasadnić, aby się nie wydało czczym frazesem. Upadek Polski z konstytucją 3 maja w ręku, tą potężną reformą, która poprzedziła nowe zasady rewolucji francuzkiéj; stuletnia martyrologia kraju i jego nieustające podrywy przeciw stokroć silniejszym zaborcom, nieprzełomna i żadnemi klęskami niezłamana wiara ludu w lepszą przyszłość kraju, odradzanie się narodu na polu języka, literatury i sztuki, hart narodowy samego pospolitego mieszkańca, nieulegającego cudzoziemczyźnie, która nań zewsząd napływa, — oto dowody silne naszéj wielkiéj narodowéj żywotności. Z drugiéj strony można było wskazać, jak ciężko nieraz karały się błędy polityki zagranicznéj, ilekroć takowa pomijała, albo wręcz przeciwną była interesowi Polski. Anglja jedynie z nienawiści dla Francji, była nieustającą nieprzyjaciółką naszą i karze się wzrostem Rosji na wschodzie posuwającéj wciąż granice swoje ku Indostanowi. Upadek Napoleona I. i Napoleona III. był prostém następstwem ich fałszywéj polityki, że pierwszy mógł, a nie restaurował Polski i nie zapewnił sobie nią tyłów w wyprawie na Rosję, a drugi, że nie miał odwagi podnieść najpopularniejszą kiedyś we Francji wojnę o Polskę i wolał uledz przeciwieństwu niechętnéj mu Anglji, i milczeniem pokryć gorzką i dumną notę Gorczakowa, niż idąc na przebój w imie najlepszéj sprawy, zyskać na wschodzie dla Francji najwierniejszego i potężnego sprzymierzeńca. Zgubna polityka Austrji, która się dała wciągnąć do koalicji, rozszarpującéj Polskę drogo już przypłaciła i przypłaca jeszcze te nieprawe nabytki, które ją zesąsiadowały z intrygującą Rosją. Dziś jéj punkt ciężkości stracony w Niemczech, przeniósł się do Węgier, a Przedlitawja zlewek różnych narodowości, dążących do autonomji, uorganizować się nie może i bodaj czy się nie rozpadnie, jeżeli się w silny związek federacyjny nie zamieni, czemu przewodząca dotąd centralizacja wyższéj i niższéj Austrji przeszkadza. Jedna polityka pruska znakomitém dotąd cieszy się powodzeniem, wspierana oświatą ludu, rzadkim porządkiem w administracji i finansach, oraz silną organizacją wojska. Wszakże są to dopiéro początki ogromnéj Prus potęgi, a niewiadomo, co im jeszcze przyszłość przyniesie.

Autor pominął te wszystkie okoliczności a rozwiódł

się głównie nad Rosją, nad jéj panslawistycznym niwelującym wszelkie narodowe i religijne odcienia kierunkiem, nad jéj despotyzmem nie mającym względów ani uszanowania do tego wszystkiego, co dla innych narodów cywilizacji europejskiéj jest świętém i nienaruszalném. Powiada on i słusznie, że „każdy Moskal to Nomada i komunista zarazem“ a gdy potęga tego samodzierczego mocarstwa na niesłychane rozmiary w Azji i w Europie się szerzy, gdy Polskę już pochłonęła, a do Konstantynopola wzdycha, kędy jéj droga przez Austrję; rzecz widoczna, że na długo dotychczasowy alians Prus i Rosji utrzymać się nie może i że na granicach Germanji i Austrji przyjść musi do starcia się dwóch przeciwnych sobie pierwiastków: barbarzyństwa i cywilizacji, azjatyckiego i europejskiego żywiołu. I oto powód dla którego nasz publicysta woła na Germanję: „obaczcie się, już czas.“ Wspomina po prawdzie, że w skutek istniejącego dobrego przymierza Rosja wielką oddała przysługę Prusom, utrzymując i Danję i Austrję w neutralności w czasie ostatniéj wojny; a Prusy pozwoliły swéj koleżance na mocy zainaugurowanéj konferencji w Londynie, wyłamać się z pod warunków traktatu 1856 roku krępujących jedynowładztwo rosyjskiego cara na morzu Czarném, i milczkiem zbyły notę cyrkularną kanclerza rosyjskiego z dnia 31. Października 1870. r. będącą niesłychanéj doniosłości, bo attentatem przeciw prawu międzynarodowemu, o ile to na zawartych i uroczyście przyjętych traktatach się opiera.

Ale takie usługi przyjacielskie nie zawsze będą możliwe. Przyjaźń prusko-rosyjska rozbić się będzie musiała o panowanie na morzu Baltyckiém, ku czemu Germanja koniecznie zdążać będzie; — o prowincje niemieckie nadbaltyckie, które Rosja zmarnować stara się — o granicę szeroką szczelnie zamkniętą i utrudnioną dla eksportu towarów niemieckich — o wpływy wsteczne, jakie Rosja wywierać będzie chciała na losy Germanji — nareszcie o Austrję, którą zapragnie pokonać, aby sobie drogę utorować do Konstantynopola.

Kwestje to wielkiéj wagi, które prędzéj czy późniéj przyjdą na porządek dzienny, a które tylko oręż rozstrzygnąć potrafi. Prusy i Austrja, mają u granic dawnych ziem polskich bezpośrednim sąsiadem Rosję, którą tylko Polska raz po raz powstańcza i carstwu niechętna, od gwałtownych na Europę popędów powstrzymywała. Nie lepiéjżeby było dla Germanji a dla Austrji w szczególności, żeby te dwa mocarstwa Polska restytuowana, silna i niepodległa od Rosji przegradzała, i stanęła jako dawniéj na krańcach i na straży cywilizacji europejskiéj przeciw napadom hord azjatyckich?

Otóż i interes, w imie którego odzywa się autor do Niemiec, aby odbudowali Polskę. Jak pochwalamy dotychczasowy i główny rozwój politycznych pomysłów pisma, które nas właśnie zajmuje, bo z godnością, powagą i świadomością rzeczy są przeprowadzone, tak tu odsłaniają nam się słabe jego strony. Nasamprzód nie do Germanji, ale do Austrji należałoby się publicyście naszemu z podobną propozycją własnego interesu odezwać. Starcie się Niemiec z Rosją jest niezawodnie konieczne, ale leży jeszcze w dalekiém polu. Germanja zorganizować się najprzód i wzmódz do jednolitéj jedności musi. Granice jéj u świeżo annektowanych prowincji w Szlezwigu duńskim, w Alzacji i Lotaryngji są bardzo jeszcze niepewne i przeciw odwetowi ze strony Francji i Danji nie zaopatrzone; ludność niechętna i nieżyczliwa. Ileż to trzeba czasu, ażeby się z téj strony zabezpieczyć. Granice na wschodzie, acz nie tak niebezpieczne, ale zawsze z ludności polskiéj złożone, któréj germanizacyjne dążności rządowe do rządu nie przywiązują. O wojnie z Rosją ani myśleć Niemcy nie mogą, dopóki nie będą mieli flotty na morzu niemieckiém i baltyckiém, któraby się mierzyć mogła z potęgą morską zgromadzoną około Kronstadu. Wszystko to dowodzi, że Germanja nie ma bezpośredniego interesu w restytucji Polski, bo i owszem, długo jeszcze potrzebować będzie pomocy Rosji zanim się silnie i potężnie urządzi. Ale ma ten interes bezpośredni Austrja, zrujnowana w swoich finansach, zdezorganizowana i osłabiona nie tylko podziałem na Przed i Za-Litawję, ale i nieustającém ścieraniem się narodowości słowiańskich i niemieckich, wchodzących w skład jéj zachodniéj połowy. Galicja podminowana partją rusińsko-moskiewską, niemogąca przyjść do ładu i składu, bo rząd i rada stanu same nie wiedzą jak sobie z nią począć, z otwartemi granicami od strony Rosji jest pozycją straconą dla Austrji i przy pierwszym wybuchu wojny, zajmą ją wojska rosyjskie. Rosja zanim się będzie mogła zmierzyć z Niemcami, będzie chciała wprzód zająć Konstantynopol i na ten cel obalić potęgę Austrji, choćby się łupem podzielić z Niemcami, by otworzyć sobie drogę przez Dunaj i Bałkan do Turcji a razem pozbawić Niemce naturalnego ich sprzymierzeńca, jakim byłaby Austrja. Sam autor pojął to stanowisko rakuskiego państwa bardzo dobrze, nalega na Niemce aby się wiązały z Austrją, choć widzi jasno łatwość rozebrania tego mocarstwa między Germanję i Rosję, nie tai sobie, że Austrji głównie na odbudowaniu Polski zależeć powinno, — a jednak do Germanji nie do Austrji się odzywa w kwestji polskiéj. Autor byłby się może sam przekonał, jaka zachodzi trudność zainteresowania Niemiec dla Polski, gdyby był uwzględnił, że całe ich strony północne po nad Baltykiem, po nad Wezerą, Elbą, Odrą i Wisłą, że cała Saksonia i Prusy dzisiejsze na siedzibach niegdyś słowiańskich powstały, a dziś ślad téj słowiańszczyzny zaledwie w kronikach i w nazwach miejsc jeograficznych pozostał. Nie zauważył daléj na granice Prus od wschodu, gdzie W. Księstwo Poznańskie, jako tako zaokrągla territorium państwa od téj strony, i gdyby je odebrano albo oddano, dwie prowincje Prus zachodnich i Szlązka od razu armja nieprzyjacielska odciąćby potrafiła, a zbliżonaby była do stolicy państwa o kilkanaście mil drogi. Nie pomawiamy autora, aby pismo jego było plagiatem rozprawy Gottfryda Kinkla, przytoczonéj już powyżéj. Sądzimy i owszem, że téj pracy przychylnego nam uczonego niemieckiego wcale może nie czytał. Wszakże myśl, którą Kinklowi jako cudzoziemcowi wolno było wypowiedzieć, że z tego, co już Niemce z Polski zabrały nic oddać nie mogą, i że po za granicami Germanji Polska budować się musi, — myśl tę autor jeżeli nie powtórzył, to jednak napomknął, granice przyszłe Polski od zachodu, przyszłemu kompromisowi zostawując. Stać się to może, jeżeli siła stanie przed prawem, jak się to dziś w prowincjach francuzkich przed 300 laty od Niemiec oderwanych dzieje, ale zdaniem naszém publicysta rodak takiéj myśli bez ubliżenia uczuciu narodowemu poddawać nie powinien.

Czy Prusy jako cesarstwo niemieckie będą chciały skojarzyć się z Austrją, ku czemu rozsądna polityka ich wieść powinna, i co obecnie konferencje w Gasteinie wskazują, rzecz jest problematyczna, a jeszcze problematyczniejsza, aby z tego skojarzenia wynikła restytucja Polski. Lecz jeżeli polityka i żądza osobista przeważą i chciałyby dwa cesarstwa europejskie po zgnieceniu Turcji i Austrji, podzielić się rządami Europy, jak to zamierzał Napoleon I. i Aleksander I., natenczas prowincje dwulitawskiego państwa pójdą na pastwę dwóch cesarskich mocarstw, ku czemu Germanja tém skłonniejsząby się okazała, boby zagarnęła Czechy, Morawję, niemieckie prowincje. Tyrol aż po Trjest i oparłaby granice swoje o dwa morza: o Baltyk i o morze Adrjatyckie. Są to złudliwe dla potęgi cesarstwa niemieckiego widoki i nie trudne do wykonania przez połączony sojusz z Rosją, przy obecnéj stagnacji Anglji,

a zupełném wycieńczeniu Francji. Ale cóż potém? Ażaliż podbite przez Germanję ludy sławiańskie dadzą się zniemczyć, bez użycia środków gwałtownego wytępiania? Ażaliż taki sojusz Azji z Europą, przy tak różnorodnych zasadach i kierunkach dwóch zupełnie przeciwnych cywilizacji, da się na długo utrzymać i nie powstanież koniecznie bój zacięty o prymat, w następstwie zniszczenie jednéj lub drugiéj potęgi i rozpadnięcie się przerosłego w potęgę mocarstwa na pojedyncze niezawisłe od siebie odłamy? Jestże nakoniec uniwersalna monarchja i bezmierna rozległość granic szczęściem, do którego społeczność ludzka dążyć powinna?

Te i tympodobne względy upamiętać powinny chłodnego polityka, aby się nie dał olśnić żądzą zaborów i wielkości; aby dla nich nie zawierał nienaturalnych związków, a wyrobione, historyczne i oświecone narodowości szanował, aby nad zabór i wytępianie przemocą nieprzyjaznych żywiołów, przekładał federację i związki handlowe ludów między sobą, aby nakoniec pomniał, że jeżeli w rzeczach społecznych i potocznych, jak poucza nowsza ekonomja i statystyka społeczeństwa ludzkiego istnieją niezaprzeczone i pewne prawa, wedle których wszystko się dzieje, że niemniéj w wielkiéj organizacji całéj ludzkości, któréj teatrem rozwoju są dzieje narodów, rządzić muszą niewzruszone prawa wszechmocy Bożéj, która wszystko na szali rozumu, postępu i sprawiedliwości urządza i waży, chociaż na pozór osoby działające, czy to ministrowie genialni, czy monarchowie potężni, zdają się na rzecz każdą wedle dowolnej, dobrze lub źle zrozumianéj myśli swojéj prowadzić.

Z tych względów przechylamy się na stronę zapatrywań się autora, że Germanja uzna sojusz swéj z Austrją za konieczny, a od przymierza z Rosją coraz więcéj oddalać się będzie. Ale i w téj koalicji Niemiec z Austrją, leży dwojakie dla sprawy polskiéj niebezpieczeństwo. Raz przewaga pierwiastku niemieckiego w ziemiach przedlitawskich, powtóre ograniczenie autonomji dziedzin sławiańskich, poddawanych pod mniemaną kulturę germańską. Aby zaś dom rakuzki zdobył się na restytucję Polski i takową z pomocą Niemiec chciał rzeczywiście przeprowadzić, to tak wysoko moja imaginacja się nie posuwa.

Pismo więc pana L. Żychlińskiego nie będzie miało żadnego praktycznego skutku, a nosi na sobie te dwie słabe strony: raz, że za interesem Germanji czy Austrji własny interes narodowy ukrywa, powtóre, że daje publiczne świadectwo niemocy i bezsilności w które popadła niegdyś 20 milionowa Polska, że zrozpaczywszy już o własnych siłach, domaga się od obcych mocarstw, co więcéj domaga się od tych, co na niéj wzrośli, co się nią podzielili, — aby ją z téj niemocy dźwignęli i do niezależnego samoistnego bytu podnieśli.

Ale z drugiéj strony pismo to ma swoją znakomitą teoretyczną wartość. Jest świadectwem żywéj naszéj wiary, jest wypływem nurtującéj wśród naszego społeczeństwa myśli, obróconéj w lepszą przyszłość, o któréj nie zwątpiliśmy nigdy, bo ostatecznie z postępem cywilizacji i międzynarodowych stosunków, opartych na dobrze zrozumianym interesie państw i narodów, wyrobić się musi przekonanie, że naród nasz tylumilionowy, w dziejach świata przez ośm wieków zasłużony, który w końcu padł ofiarą własnéj niemocy i zaborczéj polityki sąsiadów, ale nie postradał nic z sił żywotnych narodowości swojéj; — że naród taki zasługuje na to, by wrócił do dawnéj niepodległości i wstąpił w harmonijny koncert państw europejskich, mniejwięcéj na wyrobionych i historycznych narodowościach opartych. Że ta myśl tak żywo i gorąco w autorze naszym się odezwała, że ją z właściwym sobie talentem publicystycznym przeprowadził i z nią się do Niemiec odezwał, przynosi mu zapewne zaszczyt, którego mu żaden bezstronny nie odmówi.

Dr. Libelt.

Korespondencja z Warszawy.

Warszawa 23 sierpnia.

W ostatnim miesiącu na ulice Warszawy „wstąpił geniusz śmierci“ i idzie po nich „jak żołnierz szturmujący w połamane mury...“ Smutno! smutno! z szeregów pracowników na niwie ojczystéj, w biblijnéj winnicy pańskiéj, wychodzi co chwila ktoś, by stanąć do apelu i niewrócić więcéj. Oto w pierwszéj połowie b. m. zmarł Franciszek Salezy Dmochowski, staruszek to już siedemdziesięciokilkoletni, człowiek, który w młodości swojéj stanął do walki zuchwałéj samotny, z Mickiewiczem „co jak bóg litewski wyrósł z sennego sosen uroczyska.“ Ta walka uczyniła imię jego rozgłośném, przypięła go do Mickiewicza jak szmatkę jakąś do purpury królewskiéj — ale człowieka złamała, ośmieszyła. Śmieszność ta jak brzemię stucentnarowe cisnęła Dmochowskiego przez całe życie. Od chwili historycznéj swéj „ucieczki na Pragę“ Dmochowski rzucił pióro krytyka, w życiu unikał wszelkich starć, wszelkiéj dyskusji, o Mickiewiczu jeśli mówił, to mówił tak, jak gdyby przymuszony, w duchu co innego o nim myśląc. Rozmowy o owém starciu z olbrzymem unikał, tylko w swoich Pamiętnikach wspomina o niéj mimochodem, mało... Przed kilku dniami wpadła nam w rękę sławna ta recenzja Dmochowskiego Sonetów Krymskich, na którą to recenzję rozgniewany „Bóg litewski“ cisnął snop swoich piorunów. Pominąwszy w niéj tło czyste, rzekłbym, ultraklasyczne, Dmochowski zarzuca zuchwale „młodemu poecie“, że psuje i kazi język, bo używa takich wyrażeń jak „minaret“, „ramazan“, „muezzin“, które przecież nie są polskiemi i radzi w prostocie ducha „poczynającemu wierszopisowi“, aby na klasycznych wzorach polszczyzny ukształcił swój język — co więcéj, szydzi z niektórych ballad Mickiewicza, wykazuje złe rymy, ciemność i skażenie języka. Doprawdy czytając dzisiaj, po latach tylu, głośną tę recenzję, śmiech jakiś smutny bierze, bo w myśli współcześnie pojawia się biała jak gołąb głowa Dmochowskiego... Owoż krytyka ta uczyniła Dmochowskiego głośnym, głośniejszym niżby to prace jego liczne mogły spowodować. W literaturze ma on swoje zasługi i zasługi niepospolite. W czasach kiedy całun snu śmiertelnego padł na kraj cały, po 31 roku, Dmochowski był jeden, co jak żołnierz stał na wyłomie i budził życie, bo bał się, jak sam mówił, by sen ten nie był nieprzespanym. Tłomaczył Walter-Skotta, wydawał pierwsze u nas pisma illustrowane p. t. „Magazyn Powszechny i Domowy“, pisał wiele... Ostatnią jego pracą była broszurka „O życiu i pismach Kazimierza Brodzińskiego“, o któréj niedawno pisaliśmy do Waszego Tygodnika. Chciał on przed śmiercią, którą czuł, że idzie ku niemu, napisać wyczerpujące studjum o Brodzińskim. Nie udało mu się niestety. Materjałów podobno do téj pracy miał wiele. Zbierał je od lat kilku — miał jego prelekcje o literaturze polskiéj, wykładane w uniwersytecie warszawskim — listy, autografy i t. p. Co się z tém zrobi, nie wiemy. W towarzystwie był to staruszek miły, pełen opowieści, facecji, któremi sypał jak z rękawa. Pamięć do końca życia miał kolosalną — z przekładu

Illiady całe rozdziały cytował — mnóstwo wierszy okolicznościowych z przedrewolucyjnych czasów umiał na pamięć i rad się niemi popisywał. Majątek swój stracił i na starość żył z dawania lekcji — rodzina mu wymarła, żył samotny i tęskny. Znał on osobiście wielu ludzi głośnych z pierwszéj połowy naszego wieku, mnóstwo o nich szczegółów wiedział, ztąd rozmowa z nim była miłą i pouczającą. Ku końcowi trudno go było zrozumieć, bo stracił wszystkie zęby i trzeba się było przyzwyczaić do szepleniącéj jego mowy. Mało gdzie bywał i mieszkał gdzieś w Alei Jerozolimskiéj za dworcem kolei warszawsko-wiedeńskiéj, na przedpieklu. U Deotymy na głośnych recepcjach zimowych bywał, a potém z niéj szydził dowcipnie... Postać to zawsze wybitna, ciekawa... Dla chleba pisał wiele książek naukowych, kompilacji dla szkół, jak historję świętą, historję polską... Ta ostatnia, to jedyna ciemna plama na jego życiu... Na pogrzebie nie wiele było osób... Dzień był smutny, posępny, deszczowy... O szczegółach z młodości jego można się dowiedzieć z „Wspomnień" które wydał przed dziesięciu laty w Warszawie...

Drugą stratą jaką ponieśliśmy w tym czasie jest śmierć Ludwika Panczykowskiego, artysty teatrów warszawskich... Urodzony pod stopami Karpat w Starym Sączu, przyjechał gnany duchem artyzmu co mu się w piersi kołatał, do Warszawy i wstąpił do teatru. Odtwarzał on znakomicie typy ekonomów, sług starych, kontuszowych, leśniczych, chłopów i t. d. Strata to dla teatru naszego ogromna. Skromny, żył tylko dla sztuki. W życiu prywatném człowiek wysoce uczciwy. Żył samotny, bezżenny, bo zawiodła go w młodości jakaś „ubóstwiona" — czy umarła nawet. Kazał się pochować obok jéj mogiły „obok kobiéty, którą kochał i szanował", jak się w testamencie wyraził. Powierzchowności skromnéj, prostéj, miał przecież w sobie ducha wysoce poetycznego. Wspomnieniami młodości rad żył. Opiekował się wszystkimi góralami, którzy za chlebem przyszli do Warszawy — w wigilję Bożego Narodzenia sprawiał im obiad wszystkim... Uczynny, cichy, pracowity... Miał ciekawy od kilkudziesięciu lat skrzętnie kompletowany zbiór afiszy teatralnych warszawskich. Pensję nie wielką pobierał — najwyżéj sześć tysięcy złotych. Był to artysta niepospolity. Komizm jego nie ma porównania. Imię jego na afiszu ściągało tłumy do teatru. Od paru lat miał emeryturę, grywał jednak chętnie, choć już żadnéj nowéj roli nauczyć się nie mógł, pamiętał tylko dawne. Na cmentarz trumnę jego odprowadził tłum kilkunastotysięczny... Sit tibi terra levis!...

Od mogił idźmy w życie, które wraz z jesienią, co złotą barwą krasić pocznie liście drzewne, budzi się jakoś w Warszawie... Mówię w Warszawie, ale nie w literaturze. Ta sobie śpi jak spała — zajmuje się tylko teatrem. Już to w dziennikach naszych o najdrobniejszych szczegółach teatralnych dowiedzieć się można, choćby to nawet najmniejszego związku nie miało ze sztuką. Kurjerki rade zawsze opowiadają co robi pani Modrzejewska.

Spodziewamy się lada chwila cholery. W oczekiwaniu téj strasznéj pani, nic nie robimy... Żadnéj nowości ani nowinki, co naturalnie dla mnie jest bardzo smutném. Na wystawie Sztuk pięknych nic nowego... Okropne czasy! Gdyby nie ploteczki o weselach, śmierciach, kłótniach, zaręczynach i rozwodach, przyszłoby człowiekowi, jak mówił ś. p. Chirurg filozofji, wyciągnąć kopyta... Que faire? trzeba żyć.. choćby tak krótko, jak ś. p. Tygodnik Radomski p. t. Wisła. Biedna radomska Wisła w czasie posuchy letniéj chciała pobujać i klapła. Wiadomo wam zapewne, że Radom jest to miasto gubernialne — otóż idąc za chwalebnym przykładem Lublina, Kalisza i Kielc, urzeczywistniając słowa poety: „Pawiem narodów jesteś i papugą", Radom postanowił mieć swój własny organ literacki i w tym celu wydał szumny prospekt na pismo tygodniowe p. t. Wisła. Pierwszy numer miał obaczyć światło dzienne na początku lipca. Trzeba wypadku, bo wypadki zawsze włażą nieproszone, że Redaktor en chef będąc z natury swojéj chemikiem, w ostatnich dniach czerwca wyjechał gdzieś oglądać słynne jakieś a co więcéj cudownie pachnące, guano portugalskie czy pacanowskie, bo niewiem tego dokładnie. Naturalnie numer pierwszy Wisły wychodzi rumiany od wstydu — a gubernator radomski, satrapa, z zasady że nie ma redaktora w miejscu, konfiskuje go... Cudowna zasada!... nieprawdaż?... istnie mongolska!... Więc Wisła skonała! Sit tibi terra levis. A! czyż tylko o śmierci dziś mówić będę?... Bojąc się, bym znów nie wyśpiewał jakiéj śmiertelnéj powieści: Składam dzidę

I spać idę

bo północ ze zamkowéj wieży przeciągle tętni po ulicach Starego Miasta. X.

Wycieczka do Saskiéj Szwajcarji

przez

Hr. na Lodowéj Turni.

(Dalszy ciąg).

Prędzéj niż spodziewałem, mogłem urzeczywistnić moje życzenie: w dwa lata bowiem późniéj szczęśliwy los zapędził mnie do Drezna. Przypomniałem sobie zaraz żywo ową rozmowę w Kościeliskach i przechwałki Alfreda o Saskiéj Szwajcarji: więc będąc tak blisko postanowiłem ją zwiedzić koniecznie. Góra z górą się nie zejdzie, ale człowiek z człowiekiem zawsze, powiada nasze przysłowie: owóż dziwnym trafem bawił także podówczas w Dreznie ów Tadeusz, z którym razem Tatry zwiedzałem. Wyjawiłem mu mój zamiar, a przypominając nasze rozmowy w Kościeliskach jąłem go namawiać do wspólnéj wycieczki. Zarzekał się z początku, że nie pojedzie za żadne pieniądze do Saskiéj Szwajcarji, wszakże na usilne prośby moje dał się wreszcie nakłonić.

Czas był bardzo korzystny. Było to bowiem w pierwszych dniach czerwca, pogoda zdawała się być ustalona na kilka dni: a pogoda to przecież fundament podróży (rozumie się prócz pieniędzy). Ażeby sobie ułożyć stały plan wycieczki i wiedzieć, co jest najwięcéj godne widzenia: zajrzałem sobie do najnowszego wydania Baedekera. Z niego dowiedziałem się, że na zwiedzenie Saskiéj Szwajcarji wystarczą dwa dni. — Ha! — myślę sobie — to mi to wygodna podróż! A w Tatrach sama wycieczka do Morskiego oka już dwóch dni wymaga. Aleć to długość czasu jeszcze nic nie stanowi. Wydarłszy cały rozdział von der Saechsischen Schweiz wraz z mapą téjże siadłem pewnego pięknego poranku w towarzystwie Tadeusza do wagonu, by zajechać do miasteczka Wehlen nad Elbą, zkąd się już rozpoczyna piesza po Szwajcarji podróż. Jadąc wystawiałem sobie, że niedługo ujrzę śpiczaste szczyty gór, choć nie tak wysokich jak Tatry, ale zawsze pewnie dość imponujących: może przynajmniéj jak Pieniny od Nowegotargu. Wyglądam

napróżno! Snać i Tadeuszowi te same myśli się nasuwały, bo raz po raz wyzierając oknem, rzekł wreszcie zniecierpliwiony:

— Jakoś długo nie widać téj Szwajcarji! Jak to nasze Tatry, mospanie, to już od Krakowa jeżą się straszliwie ku niebu, choć to do nich jeszcze 14 mil z okładem. A tu grzędy jakieś nieznaczne wokoło, jednostajne, uprawione, obsiane: nazwać to górami byłoby zaprawdę bluźnierstwem — cóż dopiéro Szwajcarją!...

Przy miasteczku Pirna zbliżyliśmy się tuż do koryta Elby, która odtąd ścieśniona z obudwu stron skalistemi wzgórzami dość malownicze rozwija brzegi. Dołem nad rzeką, na łagodnym stoku umajonym gęsto drzewami mianowicie świerczyną bielą się domki to pojedynczo, to gromadnie stojące; wyżéj zaś nieco podnosi się stromy mur skał z piaskowca, których pojedyncze łomy w prostopadłym idą kierunku; górą ciągnie się nieprzerwany prawie szereg świerków. Przy tym murze skalistym widać tu i owdzie robotników zajętych odwalaniem łomów i obrabianiem kamieni na rozmaity użytek. Miejsca téj pracy już zdala przykro odbijały świeżym żółtym kolorem od ciemno popielatych skał, nietkniętych jeszcze niszczącém żelazem. Jakkolwiek już w górskiéj byliśmy bez wątpienia okolicy jednak zbyt mi tu jakoś prozaicznie wyglądało. Te wycackane domki nadbrzeżne, te liczne oberże, te szkuty i tratwy na Elbie ten łoskot walących się łomów i stukot młotów kamieniarskich — wszystko to świadczyło wprawdzie o przemyśle ludzkim i cywilizacji, ale natomiast dalekiém było od owéj czystéj, dziewiczéj, nietkniętéj natury, jakiéj się w górach oczekuje i pożąda.

Może po kwadransie jazdy wśród jednostajnéj fizjonomji nadbrzeżnéj zatrzymał się pociąg w Pötscha. Na przeciwnym brzegu Elby leży Wehlen, więc porzuciwszy koléj przeprawiamy się łódką na drugą stronę. Ledwieśmy stanęli w mieście, otoczyła nas niebawem zgraja przewodników. Mosiężne numerowane blaszki na czapkach z czerwonemi obwódkami wskazywały, że są przez rząd w porządku trzymani. Do nich przyłączyło się jeszcze kilku młodych chłopaków, którzy za mniejsze wynagrodzenie ofiarowali nam również skore i gorliwe usługi.

— Czy weźmiemy przewodnika? spytał mnie Tadeusz.

— A to na co? Wprawdzie w górach przewodnik jest prawie niezbędny, jak to w Tatrach na przykład, chociażby tylko dla noszenia żywności i cieplejszéj odzieży. Ale tu co innego: żywności dostarczą nam liczne gasthauzy i hotele aż do zbytku, a zimnych wiatrów i śniegów pewno się też lękać nie potrzebujemy. Nawet Baedeker powiada: „Przewodnicy (za talara dziennie) są pożądani, ale nie koniecznie potrzebni" — więc bądźmy spokojni. Wszakżeż on ma zawsze na względzie największych wygodnisiów podróżnych, do których my, dzięki Bogu, nie należymy.

— Tém lepiéj: będziemy swobodniejsi. Mappę mamy dobrą: nie zginiemy!

Na natarczywe więc polecania się przewodników odpowiedzieliśmy stanowczo, że pójdziemy sami, i jakkolwiek ten i ów jeszcze raz próbował szczęścia, wszakżeż na ich pochwałę wyznać należy, że widząc próżne zabiegi spokojnie ustąpili. Przypomniało mi to zaraz Portici i niezliczoną bandę włoskich obdartusów, chcących nas prowadzić na Wezuwiusz. Mimo najuroczystszego zapewnienia, że żadnego z nich nie weźmiemy, dwóch natrętów szło za nami jak potępieńcy aż do tak nazwanéj pustelni z wytrwałością godną lepszéj sprawy, mianowicie pracy pożytecznéj.

Od Wehlen zaczyna się podróż do Saskiéj Szwajcarji. Wyszliśmy z miasteczka w kierunku wschodnim na jakieś górzyste ale zaorane i obsiane pole, którego widok bynajmniéj nam Alp nie przypominał.

— Śliczna mi Szwajcarja — zauważył ironicznie Tadeusz.

— Cierpliwości! — toż to dopiéro wstęp do niéj. Szeroka i wygodna ścieżka prowadząca nas łagodnie pod górę wiodła tuż nad parowem, wcale jednakże nie strasznym, w którym szumi wprawdzie potok, ale pewnie tylko na wiosnę, gdy śniegi stopnieją, albo może i latem przy deszczu ulewnym. Wnet weszliśmy do lasu świerkowego. Ścieżki się dzielą, ale łatwo się dowiedzieć, która prawdziwa: staranny bowiem drogowskaz wyraźnie cię ostrzega, że na prawo idzie się „nach der Bastei."

— Po co nam przewodnik! — rzekłem. — Troskliwy rząd saski najlepiéj nas wszędzie poprowadzi.

— Mówiłeś, że przewodnik kosztuje wedle taryfy talara dziennie — no proszę! A u nas w Tatrach za jeden papiérek*) prowadzi góral i to śród jakich trudów nieraz! Objuczony rzeczami i żywnością nie skarży się, choć pot leje mu się z czoła, lecz owszem wybornym humorem jeszcze i gościa**) rozwesela!

— A jacy to gorliwi są w pomaganiu podróżnemu, gdy się przechodzi niebezpieczne miejsca. Zaprawdę podziwiać trzeba ich poświęcenie i ojcowską opiekę połączoną nieraz z narażeniem własnego życia, byle tylko gość miał jak najwygodniéj i uszedł przypadku. — To też człowiek czuje, że to nie prosty sługa, lecz troskliwy opiekun i miły przyjaciel.

— Patrz, patrz! — przerwał Tadeusz — to tu jakoś na serjo zaczyna się Szwajcarja!

W istocie weszliśmy do jakiegoś wąwozu: jestto Zscherre-Grund. Z obydwu stron podnoszą się jakby mury cyklopów strome skały niby pospajane czworoboczne kolumny albo baszty potężne, ale popękane, częściowo zrujnowane jak po Samsonowém wstrząśnieniu; a że to w lesie cienistym, więc omszałe, rzęsisto umajone paprocią, krzewami — bardzo sympatycznie wyglądały. Chwyciły mnie też od razu za serce.

— A może to — rzekłem — i zwycięży nas ta Saska Szwajcarja!

— No, jeszcze przecież nic tak osobliwego nie widzę. Jeśli ten mur się długo pociągnie, to nas wnet znudzi. Żeby to przynajmniéj jaki potok tém wyschłém łożyskiem płynął, byłaby rozmaitość; ale te głazy same, zawsze jednakowo się powtarzające, dość martwo wyglądają.

Miał rację. Półgodzinna jednostajność otoczenia zaczęła się nam przykrzyć, nam, cośmy przywykli do tatrzańskich niewyczerpanych nowości. Zapragnąłem czegoś nowego. Nadeszła odmiana — ale niestety na gorsze. Skały się skończyły, a nastąpił tylko dalszy ciąg lasu najprozaiczniejszego w świecie. Na wstępie do niego zapraszają cię ławki do odpoczynku: masz tu przetrawić wrażenia doznane w skalistym Zscherre-Grund i przygotować się uroczyście na oglądanie niedalekiéj Bastei. — Co za wygodni ludzie ci Sasi — pomyślałem sobie — każą nam tu odpoczywać jakby już było doprawdy po czém!

Idziemy daléj coraz wyżéj, ścieżką żwirem wysypaną do owéj sławnéj Bastei, która (jak powiada Baedeker) jest „der Glanzpunkt der Saechsischen Schweiz." Już nas dolatują tony muzyki miejscowéj: po niektórych głośniejszych taktach poznajemy jakiegoś ociężałego walca.

— Bodajto podróżować w Niemczech! — zawołałem — ścieżki wygodne jak trotoary, co chwilę budka z piwem, a do tego muzyka! To nie tak jak w Tatrach na Łomnicy na przykład, na którą nie przy odgłosie muzyki, ale wśród gorących pacierzy piąć się trzeba z trwogą i drżeniem, by karku nie skręcić!

*) Papiérek jest to powszechna nazwa papiérowych guldenów.

**) Goścmi nazywają górale turystów.

— Dziwnie by też śmiesznie słyszał się skoczny walec na Łomnicy! Tam gromy i burze — to odpowiednia muzyka, godna tych granitowych olbrzymów, ale, walec... na Łomnicy!...

— Widzisz, tam przepaść jakaś na lewo wyziera! Zboczyliśmy nieco, a uszedłszy kilkanaście kroków stanęliśmy zdziwieni. Jesteśmy właśnie na skraju lasu i równocześnie nad brzegiem przepaści, na kilka set stóp głębokiéj. Tą przepaścią jest dolina zmierzająca jako odnoga do doliny Elby. Cała zarosła świerkami, a brzeg jéj przeciwny zajaśniał nam całym szeregiem skał prostopadłych, świecących białością tém jaskrawszą, że odbijała od ciemnéj zieleni świerków. Mocne światło słoneczne sprawiało, że pojedyncze wysmukłe skały tém wyraźniéj się obok siebie rysowały. — Przypatrywaliśmy się dosyć długo, tu bowiem mogliśmy już odgadnąć charakter Saskiéj Szwajcarji, jéj zalety i niedostatki.

— Przyznać musisz — rzekłem nakoniec — że to wcale niespodziany widok i — można powiedzieć — wcale niepośledni.

— Że niespodziewany, to prawda! bo ścieżka umyślnie nas wiodła wśród lasu, by potém nagłém ukazaniem przepaścistéj doliny tém silniejsze uczynić wrażenie; że niepośledni, także nie przeczę. Ale wystaw sobie, że nagle nas teraz mgła gruba zaskoczy: nie będziemy wcale wiedzieli, żeśmy w górach.

— Jak to rozumiesz? — zapytałem — toć i w Tatrach podczas mgły nic nie widzisz.

— To prawda, ale przypomnij sobie tę chwilę, gdyśmy siedzieli na szczycie Lodowéj turni*). Tam byliśmy także otoczeni grubą mgłą nieznośną, a jednak ileż było w tém niemiłém położeniu naszém uroku i majestatycznéj grozy! Kilka tylko kroków najeżonego granitowemi głazy wierzchołka, a w około niezgłębione otchłanie!... Do dziś dnia jeszcze szumi mi ten głuchy łoskot potoków i wodospadów doliny Pięciu stawów węgierskich. Nic nie widzieliśmy, to prawda, ale ten szum ponury, który gdzieś tam z dołu z bezdennych przepaści przez mgły do mych uszu się przedzierał, ciągle mi huczał złowrogo: baczność, baczność, bo jesteś na granicy przedpiekla! — Ale tu — słuchaj jak cicho i martwo, gdyby nas mgła zaskoczyła nie czulibyśmy wcale naszego wyjątkowego stanowiska: możemy sobie przy poręczy siedzieć bezpiecznie i słuchać skocznych taktów walczyka, albo, co lepiéj, zajść do oberży na piwo. — Dziwujesz się skałom — ciągnął daléj po przerwie — jużcić co prawda są oryginalne i proste jak filary, ale spojrzyjno ku przeciwnemu brzegowi doliny: wszystko to jak pod sznur, prawie wszystkie równe, jak żołnierze w szeregu. Żadna nie śmiała wyżéj się podnieść, by nie psuć porządku. A przecież prawdziwie piękna przyroda brzydzi się tym żołnierskim rygorem, który chwilowo zajmuje widza, ale jeszcze prędzéj nuży. Zaletą natury jest rozmaitość szczegółów przy harmonji ogółu w pojedynczych obrazach. Ztąd monotonne powtarzanie się szczegółów jako poniekąd anormalne w ustroju natury jakkolwiek uderza nas z początku nienaturalną regularnością, wkrótce przecież budzi niezadowolnienie i wstręt. Do tego skały tamte na przeciwnym brzegu nie rysują się swobodnie na tle nieba, lecz dźwigają na sobie równą lesistą płaszczyznę. Nie tak to kończą się turnie*) tatrzańskie! O płaskich, równych grzbietach ani mowy tam nie ma! Tam wszystko wzburzone, roznamiętnione rywalizacją: potężne skaliste olbrzymy pną się jedne nad drugie, by jak najwyżéj wznieść się nad innych. Więc też w téj walce gigantów powstał malowniczy nieład, ogólne zamieszanie jak wśród zaciekłéj bitwy — a przecież cały ten obraz dziwną cię pociąga harmonją ogółu, z którego wieje wzniosła powaga zdobna artystyczną pięknością. Tutaj zaś zamiast harmonji — drobiazgowa regularność; zamiast prawdziwego piękna górskiego obrazu tchnącego życiem i wdziękiem — widzisz tylko jakąś wojskową sztywność, bezduszną, obumarłą. Dolina ta przy mocném obecnie oświetleniu słoneczném zdaje się nawet mieć pozór wesoły, ale jest to uśmiech zastygły na trupie. — Ot chodźmy już lepiéj na Bastei!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

*) Lodowa turnia (8324′) jest to trzeci po Gerlachu (8414′) i Łomnicy (8342′) najwyższy szczyt w Tatrach.

*) Turnia, skała.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Bank zabezpieczenia na życie Dr. Rejewskiego.

(Dokończenie.)

Bank zabezpieczeń na życie Dr. Rejewskiego nietylko, że dotychczasowym instytucjom, jak Tellusowi, bankowi pp. Potockiego i Sp. itd. nie jest przeciwnym, ale owszem stać się musi silną ich dźwignią. Dysponując bowiem w następstwie znacznemi kapitałami, mieć musi kanały, przez pośrednictwo których korzystnieby były rozpuszczone, bo te kapitały leżeć, jak skarby sknery, nie mogą. Jeźli wolno zrobić porównanie, rzekłbym, że bank zabezpieczeń Dr. Rejewskiego będzie sercem oszczędzającego narodu, a inne banki, banki spekulacyjne, będą arterjami jego, ożywiającemi swą działalnością ciało rosnącego w dobrobyt narodu. Bank Dr. Rejewskiego, gdy przyjdzie do skutku, będzie rzeczywistym rezerwoarem finansowym, który, jak niegdyś wielkie rezerwoary wody w starożytnym Egipcie, użyźni leżące obecnie jakoby niepłodne niwy, lub smutne lotne piaski, handel i przemysł naszego narodu.

Jasny dowód tego, co dopiéro powiedziałem, przedstawia nam Anglja. W tym kraju przemysłu istnieje podobnych banków, jak przez p. Rejewskiego proponowany, do 400, co czyni na miljon mieszkańców przeszło 11 banków, skutkiem czego jest ogromny napływ pieniędzy na targ pieniężny kraju tak, że dyskonto rządowego banku wynosi zwykle tylko 2½%, a na giełdach 2¼%. Obecnie nawet toż dyskonto jeszcze o ¼% się zniżyło. Banki zabezpieczeń zatém pokazują się skuteczniejszymi, niżeli wszystkie prawa przeciwko lichwie, i silniejszymi téż niżeli wszelkie inne środki mające zaradzić żebractwu i proletarjatowi.

We wstępie już pokazałem, że nasz przemysł nietylko, że nie urodził się, ale jeszcze nie istnieje nawet w zarodku. Do tego potrzeba połączenia się ścisłego kapitału z pracą.

U nas zaś nie ma ni kapitału, ni pracy. P. Rejewski (na str. 17) przytacza niektóre gałęzie przemysłu, któreby prawie ex abrupto dały się brać w ręce; Czytelnik nie pożałuje, gdy się, aby je poznać, pofatyguje do saméj broszurki. Ja z mojéj strony zrobiłbym Dr. Rejewskiemu zarzut, że albo jest zbyt skromnym, albo téż zbyt tajemniczym, bo o innych nader ważnych rzeczach, które tylko za pomocą jego banku zabezpieczeń mogą przyjść do skutku, zupełnie zamilcza.

I tak n. p. nie powiada on, że bez banku zabezpieczeń na życie spółka konsumcyjna jest mrzonką, spółka budowania tanich a dobrych domów dla biedniejszéj

klasy naszéj ludności, niemożliwością, a handel bezpośredni z zagranicą imaginacją tylko, gdyż zawsze by się pozostawał w rękach tych, co mają pieniądze na znaczne zaliczki.

Od str. 18 do 37 broszurki przedstawia Dr. Rejewski to, co zakreśla druga połowa tytułu dziełka: obroty i losy nowszych towarzystw zabezpieczenia od ognia i na życie, i wykazuje warunki trwałości jednéj i drugiéj instytucji, co mu służy za dowód, że zabezpieczenie przyszłości familji należy rozpoczynać od zabezpieczenia jéj w banku przez niego proponowanym, nie zaś w towarzystwie zabezpieczenia od ognia.

Wszystko dowodzi się tu cyframi, z matematyczną ścisłością, z jaką też udawadnia się bezpieczeństwo losu banku zabezpieczeń na życie.

Zapewne żaden z nas nie jest do tego stopnia ograniczony lub nieżyczliwy dla własnego kraju i współbraci, żeby nie pojmował doniosłości krajowych towarzystw zabezpieczających od ognia i gradobicia, których fundusze obracałyby się u nas, a nie tam gdzieś za górami, lasami i rzekami użyzniały przemysł cudzoziemców. Lecz największa część polskiéj ludności naszéj ziemi nie ma, prócz życia, nic innego do zabezpieczenia, bo nie ma ni domu, ni pola, ni ogrodu. Dla téj to przeważnéj naszéj ludności bank zabezpieczeń życia ma niesłychane znaczenie, kiedy wszystkie inne tylko nader podrzędne stanowisko w jéj oczach zajmować muszą. Jeśli większą część téj ludności bank Dr. Rejewskiego doprowadzi do tego, że mieć będzie swój domek, swój ogród, jedném słowem przedmiot inny jeszcze prócz własnego, gołego, życia i przyszłości biednéj familji do zabezpieczenia, to wtenczas narodowa instytucja zabezpieczeń téj nieruchoméj, namacalnéj własności, będzie miała silną podstawę bytu, i większą gwarancję swéj egzystencji, niżeli wszystkie inne obecnie istniejące. Mianowicie też, że takie towarzystwa nietylko że zapłacą szkody wyrządzone przez ogień nagle trawiący nasze mienie, ale i przez ogień niszczący równie skutecznie choć powolnie domy i budynki, którym jest konieczny rozkład wszelkiéj materji. Dotąd towarzystwa ogniowe jeszcze nikomu grosza nie dały, jeśli dom jego przez starość się obalił, choćby dziesięć razy wniósł jego wartość do kasy towarzystwa. A wszakże i ten dom się tylko spalił, bo butwienie drzewa, rdzawienie żelaza i t. d. nie jest niczém inném, tylko paleniem się powolném, bez płomienia. Któż za tę stratę obecnie nagrodzi? Nikt! Dajcie nam bank zabezpieczeń Dr. Rejewskiego z wszystkiemi instytucjami, które z niego rozwinąć się, do niego należeć, z nim zespolić się mogą i muszą, jeśli konsekwentnie postępować się będzie, a domy nasze staną się wiecznymi, bo nawet ząb czasu kapitału w nich tkwiącego zniszczyć nie potrafi.

Od str. 37 do 42 przedstawia Dr. Rejewski obraz ruchu banków zabezpieczeń na życie w Niemczech i Anglji, których w ogóle jeszcze jest za mało, w stosunku do ludności w pierwszym kraju, gdzie dopiéro mały jéj procent jest zabezpieczony, który jednak z każdym rokiem rośnie, bo i same banki rozprzestrzeniają swoją działalność i dobrobyt zabezpieczonych służy za przykład i zachętę dla niezabezpieczonych dotąd. Nawet wielcy tego świata, królowie i książęta, lordowie i hrabiowie zabezpieczają się w takich bankach, bo one rzeczywiście zabezpieczają od zmiennego humoru fortuny.

Koniec broszury jest poświęcony objaśnieniom potrzebnych reform w dotąd istniejącym systemacie zabezpieczenia na życie, których przejrzenie polecam Czytelnikom, ale w saméj broszurze, bo nas tu zbyt dalekoby doprowadziło streszczenie tych objaśnień. Czasopismo ma ciasne granice, trzeba do nich się zastosować.

Jednak jeszcze nie skończyłem z przedmiotem w ogóle; mam radę dla Czytelników, radę zgodną z naszym charakterem. Jako naród pojętny, od natury dosyć bogato wyposażony rozumem, łatwo pojmujemy wszystko, uznajemy co jest dobrém, chwalimy, co godném pochwały i — nic więcéj.

Po przeczytaniu broszury Dr. Rejewskiego połóżmy ją do naszego księgozbioru, a siebie na spoczynek, bo dosyć żeśmy broszurkę przeczytali; na co jeszcze zabrać się do dzieła?

Pozostawmy wykonanie projektu Dr. Rejewskiego Niemcom, tym materjalistom nie mającym już idealnego polotu, a po upływie jakich 200 lat, resztka zbiedzonych Polaków żyjących wtenczas jeszcze w Księstwie, powie: „Ot Niemcy się zbogacili **naszą** myślą! Gdyby nie **nasz** Dr. Rejewski, nigdyby nie byli doszli do tego wszystkiego, co mają. Niech żyje Dr. Rejewski! Stawmy jemu pomnik!“ Wszak to już jest nasz chwalebny zwyczaj stawiać pomniki tym, którzy coś doskonałego wymyślili dla ludzkości, czémś się odznaczali; ale to należy się robić dopiéro po ich śmierci, by nie obrażać skromności takich ludzi.

Lecz pozostawmy ironję, do któréj zmusiło nas mimo woli i chęci przemilczenie naszéj prasy o projekcie, któryby mógł zmienić socjalne położenie indywiduów i ogółu.

Indywidua, wykonanie planu Dr. Rejewskiego uchroniłoby od stania się proletarjuszami; ogół polskiéj ludności przekształciłoby ono z proletarjusza między narodami, na naród żyjący w dobrobycie, a zatém mający prawo do bytu.

Miałbym jeszcze wiele do mówienia o rozmaitych bankach zagranicznych, o ich wpływie na dobrobyt Niemców, o tém jak ta masa banków, których co najmniéj jest już ze 100, powoli wyssie soki wszystkie z naszego kraju, jak one tym sposobem są straszném, nadzwyczaj energicznie działającém narzędziem do zgermanizowania naszego kątka ziemi, przeciwko któremu żadna protestacja ni ustna ni piśmienna nie poradzi, a któremu tylko z b r o j n a i n t e r w e n c j a — kapitału nagromadzonego przez oszczędność w banku zabezpieczeń na życie, jak go Dr. Rejewski proponuje, skuteczną zaporę stawić może. Lecz toby mnie może zbyt daleko zaprowadziło: możeby szanownego Czytelnika znudziło czytanie długiego traktatu nad wpływem materji na nasze położenie społeczne i narodowe i niejeden możeby mnie posądził o to, że się stałem panegirystą Dr. Rejewskiego i wrogiem naszego idealnego polotu ku słońcu, ku gwiazdom, ku eterowi.

O wpływie zatém tych niemieckich banków tu zamilczam, z przyczyn wskazanych. Może w przyszłości do tego tematu powrócę, gdy już zapomnimy o Dr. Rejewskim i o jego projekcie. Tu tylko jeszcze tyle dodam, że projekt d o p i e r w s z y c h t o w a r z y s t w o g n i o w y c h na stałym lądzie, zrodził się jeszcze w 17 wieku w Polsce, w okolicy Torunia i Chełmna, jak o tém świadczą wykazy statystycznego bióra, a Toruń i Chełmno w owym czasie nie były ziemią niemiecką. **K.**

POKŁOSIE.

Wychodzące we Lwowie czasopismo ultramontańskie, redagowane w języku polskim, p. n. **Unia**, zawiesiło swe wydawnictwo „ad meliora tempora.“ — Mówią, że zmieniwszy tylko nazwę, ukaże się wkrótce znów światu.

Nakładem J. I. Kraszewskiego ma się wkrótce rozpocząć druk wszystkich pism **Kazimierza Brodzińskiego.**

Walenty Stefański, autor wydanéj przeszłego roku „Szkoły o królestwie Bożém“, ogłosił „L i s t o t w a r t y, jako odpowiedź

na rozprawę zamieszczoną w Tygodniku Katolickim Nr. 21, pod napisem Pelplin, 11 maja, wystósowany do Pisarza téjże rozprawy w szczególności, a do czytelników Tygodnika Katolickiego i innych światłych mężów w ogólności."

Tygodnik Katolicki, na str. 5.2 sqq. potępiając powieści J. I. Kraszewskiego, pisane wzorowym językiem polskim, poleca prace Konrada Bolanden, powieściopisarza katolickiego, pisane w języku niemieckim, „i nowe wydawnictwo dzieł jego illustrowane księgarza Pustet w Regensburgu", przyczém zaręcza śmiało, „że nikt ich nie odłoży bez najwyższego zadowolenia i prawdziwéj rozkoszy ducha." — Dokąd ma nas doprowadzić czytanie niemieckich powieści? Czy do zachowania języka ojczystego, czy do wspierania piśmiennictwa narodowego, — czy też do zupełnego zniemczenia? — Jeżeli powieści Bolandena są arcydziełami, dla czego Tygodnik Katolicki nie poleca i popiéra ich przekładu na język polski, rozporządzając potrzebnemi ku temu środkami?

Dr. I. Zielewicz ogłosił rozprawy p. n. „Ueber die congenitale Luxation der Patella" i „Ueber die Amputation des Penis mit der galvanocaustischen Schneideschlinge."

Księgarnia Gebethnera i Wolfa w Warszawie wydaje własnym nakładem prace dramatyczne Aleksandra Fredry starszego.

Baudouin de Courtenay, autor dzieła rosyjskiego „O języku polskim aż do XIV wieku", ogłosił w petersburgskich rocznikach ministerstwa oświecenia czysto naukową krytykę dziełka znanego panslawisty a nieprzyjaciela Polaków Hilferdinga „o powszechnym słowiańskim alfabecie."

Do wychodzącego w Ameryce „Orła Białego" pisze bezimienny Szlązak z Chicago, że dnia 21 lipca przybył tam ksiądz Kajsiewicz, generał Ojców Zmartwychwstańców i udał się w dalszą podróż dnia 23 lipca.

We Lwowie zebrano na budowę teatru poznańskiego 2,184 złr. 57 frank. i 50 tal.

Nakładem redakcji „Gaz. Nar." Lwowskiéj wyszła broszurka o 59 str. druku, napisana przez ks. Romana z Pawłowic. Skreślony w niéj żywot słynnego w swoim czasie z kaznodziejskiéj wymowy ks Grzegorza Piramowicza. Już ze względu na to, że podniesiono w broszurce téj kwestję proboszczów wiejskich, że wykazano jak wiele pożytku przynieść mogą nie już parafji, ale ludzkości na skromném swojém stanowisku, broszurka ta zasługuje na szczególniejszą uwagę — polecamy ją czytelniom i probostwom wiejskim.

Wenera Milońska, która podczas oblężenia Paryża w potrójnéj pace w miejscu niedostępném dla bomb bo w piwnicy prefektury była ukrytą, znów ujrzała światło dzienne i jest obecnie wystawioną w Luwrze. Pożary oszczędziły szczęśliwym trafem tę perlę starożytnego rzeźbiarstwa.

Skrzynka do listów.

P. A. A. z Ostrowa w odpowiedzi posyłamy zapytanie, coby sądził o książce zbiorowéj, któraby podobne nadesłanym przez niego zawierała rymy n. p.:

I twoje skronie
Od much osłonię
(słowa Anioła stróża)

lub:

Niechaj duch słaby skargi... klątwy miota —
Ja milczeć wolę — na oknie usiędę
Odsłonię serce szeroko jak wrota itd.

lub opisując noc i oświetlenie księżyca:

Znów tak się nadął — tak wytężył cielsko
Że niém chciał zakryć żeglujące chmury —
Próżno się nadął — więc złością djabelską
Bledniejąc zwolna... tak zaklął u góry.

Dla wiadomości ich autora dodać tu winniśmy, że książka zbiorowa, mająca być dziełem pamiątkowém, stanowić będzie szereg prac ludzi znanych i zasłużonych w literaturze bądź to belletrystycznéj, bądź naukowéj. Pozostawiamy sąd publiczności czy autor zacytowanych rymów może z nimi rywalizować. — Aby być poetą trzeba mieć sporo wiedzy i tego czegoś nieokreślonego i niedającego się nabyć, co nazywamy natchnieniem a p. A. A. sam mówi o sobie:

Chciałem pieśń wyrwać z duszy... w duszy ciemno było,
Ni jedna nie gorzała w niéj iskra natchnienia...

sam więc przyznaje się do braku natchnienia. Co do wiedzy zaś, to próbki przesyłane redakcji w imponującéj liczbie, co więcéj, pierwszy lepszy list jego wymowną stanowiłby negację. Wreszcie niech nam wolno będzie dać Sz. p. A. A. radę: niech pieniądze obracane na foljały papieru i marki do częstych przesyłek przeznaczy na jaki cel szlachetny — a po latach wielu, gdy zdolnym będzie osądzić czém lepiéj się zasłużył społeczeństwu, będzie nam „wdzięczny w nadmiary."

P. J... K... w J... pod K...: Przypominamy się po raz wtóry; bo całe tygodnie już upłynęły od wyznaczonego terminu.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Edmund Callier. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha w Poznaniu.